

# Paliusz

Robert Ziółkowski

Wszelka zbieżność nazwisk, osób i zdarzeń opisanych w opowiadaniu z rzeczywistymi, jest oczywiście przypadkowa i niezamierzona.

1.

Czarny mercedes benz w-211 z dwustutrzydziestojednokonnym silnikiem stał na betonowym bruku przed białą plebanią parafii Matki Boskiej Bolesnej w Poznaniu. Żelazna brama wiodąca na dziedziniec stała otworem.

Dochodziła dwudziesta druga. W lipcowy wieczór wciąż gorące słońce chowało się za konturami miasta z ociąganiem, acz nieuchronnie. W ostatnim buncie rzuciło czerwonym promieniem w lśniący czarny lakier. Światło odbiło się, lecąc wzdłuż ulicy Stablewskiego. Ten błysk dotarł pod ciemną szybkę aerodynamicznego kasku. Oko zarejestrowało go, odwracając głowę w kierunku auta. Szybki skuter marki Vespa pojechał dalej. Zdawało się, że wkrótce skręci w Głogowską, znikając w niemrawym, wieczornym ruchu.

Skuter zwolnił przed skrzyżowaniem. Pasażer rozejrzał się, klepiąc kierownicę w ramię. Ten zawrócił. Jechał teraz wolno w dół ulicy, wzdłuż ogrodzenia kościoła. Neoromańska, ceglana budowla rzucała cień za jadącymi. Zacienione wykusze i wieżyczki muskały swymi iglicami ściany bloków z naprzeciówka.

Kawki moszczące się w rozgrzanych koronach kilku topól rozwrzeszczały się krótko. Wyczuły burego kota snującego się u podnóża pni. Zresztą wszystko się snuło. Od miesiąca upał był nieznośny.

Spiczasty reflektor małego motocykla zgasł, a on sam zatrzymał się za ceglanym węglem płotu o sztachetach z kutego żelaza. Ulica Lodowa wpadała tu w Stablewskiego. Narożnik ze wszystkich stron otaczały bloki. Setki oświetlonych okien patrzyły w to miejsce, ale były ślepe. Nikt nie zwracał uwagi na dwie postacie w kaskach. Pasażer zdjął hełm, ocierając z ulgą pot z czoła. Mógł mieć najwyżej osiemnaście lat, a jego postura była cherlawa.

Młodzieniec nazywał się Norbert Rylski. Ruszył w kierunku otwartej bramy, ciągnąc lekko prawą nogę. Stąd mówili na niego „Kulas”.

Źle złożone po wypadku kolano dokuczalo do tej pory. Miało to swoje dobre strony. Kto bowiem mógł przypuszczać, że ten kaleka to najlepszy samochodowy złodziej w mieście pośród wszystkich poznańskich „nielatów”?

Kulas miał doskonały słuch i wirtuozerskie zdolności w palcach. „Łamak” w jego dłoniach otwierał „brykę” w kilka sekund, a uszy słyszały niuanse blokujących się zamków. Mimo tych wybitnych talentów był zwykłym złodziejem. Nie potrafił się piąć po drabinie złodziejskiej hierarchii. W tym duecie „mózgiem” był kierowca skutera, Miłosz Kusterski, pseudonim „Panisko”. Siedemnastoletni, krótko obcięty blondyn o mięśniach rozdętych w siłowni. Nagrywał robotę i opychał auta. Pochodził z adwokackiej rodziny z Grunwaldu. Starzy zajmowali się robieniem karier i pieniędzy. Młody Kusterski z domu wyniósł poczucie totalnej bezkarności i własnej nieprzejętności. Już jako trzynastolatek miał kłopoty z prawem, ale ojciec wszystko załatwił. Potem wziął się za grubsze interesy, a samochody nadawały się do tego idealnie. Czyż właśnie nie od tego zaczęli wszyscy wielcy bossowie Poznania? – mawiał z przekąsem.

– No dawaj – poganiał teraz „Kulasa”.

– Spoko, spoko... – mruknął tamten, naciągając na oczy ciemną bejsbolówkę ze znaczkim ferrari.

Norbert wszedł na pusty plac przed plebanią. Okna białego budynku były pozamykane. Świeciło się od frontu. Od szczytu było ciemno. Miłosz został przed bramą, siedząc na skuterze z wyłączonymi światłami, ale z włączonym silnikiem. Kulawy chłopak nie zastanawiał się dłużej. Pewnie podszedł do czarnego auta. „Łamak” błysnął w jego dłoni. Był podobny do końcówki oryginalnego kluczyka, lecz bardziej zaostrożony i wykonany z twardej stali narzędziowej. Miał z piętnaście centymetrów, kończył się czworokątnym zgrubieniem o rozmiarach klucza siedemnaście. Na tę końcówkę nakładało się dłuższą, poprzeczną wajchę. Powstała w ten sposób dźwignia wyłamała zamek.

„Kulas” wepchnął mocno „klucz” w otwór zamka. Kiedy poczuł opór, przekręcił w prawo. Wkładka puściła. Wyciągnął ją bez trudu. Szarpnął klamkę i drzwi kierowcy stanęły otworem. Auto sprawiało wrażenie idealnie czystego i zadbanego. Pewnie jakiś bogaty pacan przyjechał na chrzciny – pomyślał Norbert. Znał ten kościół, ale był tam ostatni raz u pierwszej komunii. Nie ciągnęło go tam nigdy, był zbyt zajęty utrzymaniem się przy życiu doczesnym, aby myśleć o tym drugim, które podobno istniało.

Zapadł się miękko w skórzanym fotelu. Wsadził „łamak” w stacyjkę. Odkręcił pokrywę bezpieczników oraz szkło zegarów. Podpiął końcówkę black boxa do gniazda diagnostycznego. Podłączył zasilanie z zapalniczki. Pracował szybko, ale uważnie. Nie pozwalał sobie na zbędne ruchy. Od pilnowania był Miłosz. Na wyświetlaczu zagrały szybko przemieszczające się cyfry. Komputerek pisnął, a program bezpieczeństwa został złamany. Kulas przekręcił fałszywy klucz. Silnik zaszumiał. Otarł zroszone czoło. Teraz wystarczyło podłączyć komórkę ściągniętą z internetu program zagłuszający GPS.

Wrzucił wsteczny, ostrożnie cofając. Operacja trwała dwie i pół minuty. Auto ruszyło wolno w stronę Głogowskiej. Skręciło w stronę centrum z przepisowo wrzuconym kierunkowskazem.

Stojące na kościelnej bramie dwie figury z czerwonego pińczowskiego piaskowca wodziły kamiennym wzrokiem za oddalającym się pojazdem. Święci Paweł i Piotr śledzili samochód ze zdziwieniem. Od stu lat oglądali tę ulicę, ale czegoś takiego nigdy nie widzieli.

2.

Pomimo mroku katedrę na Ostrowie Tumskim widać było z daleka.

W tym miejscu powstał pierwszy, jeszcze przedpiastowski gród, pamiętający czasy wolnych ludzi. Później pojawili się polańscy książęta, a wraz z nimi poznańska diecezja.

Z czasem zmieniały się nurty i koryta rzeki, znikaly i pojawiały się nowe budowle. Przyciągali i odchodzili najeźdźcy, umierały i rodziły się kolejne pokolenia, a on trwał.

W oknach pałacu biskupów poznańskich pomimo bardzo późnej pory palily się światła. Budynek stojący z boku i nieco z tyłu katedry zawsze był trochę niepozorny. Mimo że nieustannie działy się w nim rzeczy sporej wagi dla regionu i kraju, sprawiał wrażenie spokojnej rezydencji wypoczynkowej.

Kardynał nadal siedział za biurkiem w swoim gabinecie. Wystrój pozostał prawie niezmienny od czasów arcybiskupa Hlonda, czyli sprzed wojny. Pracował do późna. Ten korpulentny sześćdziesięcioletniak z bujnymi szarostalowymi włosami był podporą i nadzieją polskiego Kościoła katolickiego.

Pochodził z chłopskiej rodziny spod Stęszewa. Miał na imię Mieczysław, ale wszyscy w domu wołali na niego Maniek. Znał rolnicze rzemiosło. Pracował na roli równo z pięciorgiem swojego rodzeństwa, ale zawsze znajdował czas na czytanie i rozmyślanie.

Wręcz pochłaniał tomy z parafialnej i szkolnej biblioteki. Po pierwszym roku studiów filozoficznych przyszło powołanie. Nieco dziwne, bo bardziej ukierunkowane na ludzi niż Boga, w którego zdarzało mu się wątpić.

Mimo że tego nie pragnął, los czy też ten Bóg, któremu służył, a który pojawiał się i znikał, powołał go do grona biskupów.

Od lat zauważał niepokojące zjawiska pośród swych kapłanów. Pychę proboszczów, którzy stali się rządcami kościelnych majątków, a nie sługami Chrystusa. Inni nie wytrzymywali hierarchicznej podległości i samotności.

Kościół potrzebował zmian. Które musiały wyjść z jego środka. Ten wielki, skostniały twór nie chciał się jednak zmieniać. Stawiał opór.

Kardynał oderwał umysł od tych rozmyślań. Przypomniał sobie dzisiejsze wydarzenie. Sprawa była prozaiczna i banalna. Okradziono go. Spróbował sobie wyobrazić sprawców tego czynu. Przymknął oczy, wzdychając ze smutkiem.

3.

W stodole na obrzeżach podpoznańskiego Golęczewa, która tylko z pozoru była stodołą, mieścił się warsztat samochodowy. Z tą różnicą, że aut tu nie naprawiano, tylko cięto. Drzwi stodoly otworzyły się, polykając czarnego mercedesa i jadącą za nim vespę.

Właściciel tegoż przybytku Bernard Igielski, przezywany „Iglą” lub „Igielką”, miał dwa metry wzrostu i wielki brzuch i trudno go było skojarzyć z niepozornym krawieckim narzędziem.

– Nie było problemów? – przywitał młodych ludzi.

– Wszystko gra – odparł za obydwo Kusterski.

– To wybebeszajcie go – polecił. – Idę obudzić Mirasa.

Kusterski zanurzył się w kabinie. Z tylnej kanapy wyjął jakieś przedmioty. Rozłożył je na wysmarowanym olejem warsztacie. Wyciągnął coś na kształt skręcanej laski. Krótsza część była wygięta w ślimak i miała kolor złota. Poskrobał ją śrubokrętem. Farba odeszła, ukazując ciemne drewno. Rzucił z niesmakiem laskę na warsztat. Norbert przyjrzał się jej dokładnie.

Miłosz wziął się za resztę. W kolejnym pokrowcu znajdowała się jakaś gruba, oprawiona w inkrustowaną srebrem skórę książka. Trzeci, przypominający bombonierkę pakunek zawierał dziwny biały krawat z wyszytymi pięcioma równoramiennymi krzyżami.

Rylski nadal przyglądał się skręconej lasce.

– Ty, to chyba... – nie dokończył, bo Kusterski znieacka zarzucił mu krawat na szyję.

– Wyglądasz jak klaun z cyrku! – pociągał długie końce przedmiotu i zaśmiewał się, robiąc debilne miny.

Kulas też się w końcu roześmiał, okręcił na swojej szyi wąski pas materiału, wywalił różowy język, udając wisielca. Dobrze się bawili, lecz Norbertowi nie dawała spokoju natrętna myśl. Pomimo żalu na twarzy Miłosza szybko zrzucił z siebie „krawat” i odłożył starannie do pudełka.

Babcia Norberta była osobą religijną. Codziennie odmawiała z nim pacierz. Niejasno zdawał sobie teraz sprawę, że przedmioty należą do jakiegoś księdza, i to wysoko postawionego. Babcia opowiadała o biskupach jako o wybranych istotach, których trzeba się bać, gdyż posiadają bezpośredni dostęp do osoby samego Boga. Uczucie strachu przed karą boską nasiliło się. Religijne emocje zatrzymane na etapie dziecięcej bojaźni, podsuwały natrętnie słowo: świętokradztwo! Włosy zjeżyły mu się na karku.

Usłyszeli, że ktoś nadchodzi. Szybko spakowali towar do jutowego worka.

„Igielka” rozliczył się bez targowania. Kiedy odjeżdżali, Miras właśnie wycinał przednią „ćwiartkę” z mercedesa, była na jutro potrzebna w Bydgoszczy.

#### 4.

Inspektor Karczewski miał obecnie jedno marzenie. Chciał dostać jak najszybciej szlify generalskie. Tego ranka rozmyślał o tym przy porannej kawie, w swoim gabinecie wielkopolskiego komendanta policji.

Zbliżało się święto policji, a do niego nie dotarły żadne przecieki z Warszawy. W kuluarach wymieniano jego nazwisko, lecz nie miał bezpośredniego dotarcia do ekipy rządzącej komendą główną. Wyniki w garnizonie miał świetne. Nie wyciągał też ręki po pieniądze do policyjnego, centralnego budżetu. Jego policjanci mieli najniższe uposażenia w kraju, ale jemu to nie przeszkadzało, budował swoją pozycję i był to koszt niewielki.

Dochodziło wpół do ósmej, kiedy zadzwonił telefon. Sekretarka poinformowała go, że przyszedł oficer dyżurny zdać relację z tego, co wydarzyło się tej nocy w Wielkopolsce.

Oficer stanął w progu w pozycji zasadniczej.

– Panie komendancie! Nadkomisarz Bartłomiej Łapka melduje się do raportu!

Komendant wskazał krzesło i sięgnął po sprawozdania. Przeglądał pobieżnie. Jego uwagę przyciągnęło słowo „kuria” widoczne w rubryce „pokrzywdzony”.

– Co to jest? – wskazał palcem na pozycję.

– Mercedesa ukradli kardynałowi – uśmiechnął się lekko policjant.

– A dlaczego ja o tym nic nie wiem? – ton komendanta zrobił się bardzo służbowy.

– No, to tylko samochód, więc wdrożyłem procedury...

Już go nie słuchał. Przed oczyma miał znikające w niebycie generalskie wężyki. Wiły się, przepadając w czeluściach politycznej trawy.

– Kto to prowadzi? – Karczewski ocknął się dopiero po chwili.

– Grunwald. Komisariat Grunwald – poprawił się nadkomisarz.

– Tak... – inspektor, nie zwracając uwagi na oficera, podniósł słuchawkę telefonu. – Proszę wezwać do mnie naczelnika wydziału kryminalnego – wydał tę dyspozycję ostrym,

szczekającym tonem i tym samym tonem zwrócił się do zaniepokojonego Łapki – a pan niech się modli, żeby wszystko, co zrobiliście, było naprawdę wszystkim, co do zrobienia było możliwe.

Przed ósmą rozdzwoniły się telefony. Pierwszy był od zastępcy komendanta głównego, który owe stanowisko zawdzięczał koneksjom z politykami frakcji chrześcijańskiej rządzącej partii. Dopytywał się o szczegóły kradzieży. Karczewski improwizował, bo sam ich dokładnie nie znał. Zapewniał o zastosowaniu wszelkich środków, jakie zostaną podjęte w celu odnalezienia mercedesa.

– Mam nadzieję, inspektorze – rzekł na koniec główny. Zabrzmiało to trochę jak ironia, a trochę jak groźba.

Następny telefon był z ministerstwa spraw wewnętrznych. Dzwonił dyrektor jakiś tam w imieniu „pana ministra”. Ta rozmowa była jeszcze mniej przyjemna. Komendant gubił się w zapewnieniach.

Doprowadzony do skrajnej furii, w pauzie pomiędzy rozmowami zapytał przez interkom o naczelnika kryminalnych.

– Gdzie jest ten Kurtz?!

– Kurtz? – poprawiła go. – Czeka w sekretariacie.

– Niech wejdzie do mnie natychmiast.

Ale zanim naczelnik Kurtz mógł pomóc swojemu szefowi, telefon zadzwonił po raz trzeci. Tym razem był to wiceprezes sądu najwyższego. Komendant sapnął. Dzwonił kolejny polityczny nominat na bezpiecznie miękkim stolku. Z sądem miał tyle wspólnego, co kurwa z zakonnicą – pomyślał.

Kurtz stał w drzwiach i z kamiennym wyrazem na czerwonej pożyłkowanej twarzy obserwował szefa.

– Tak, oczywiście, panie prezesie, dołożymy wszelkich starań... Jak to w ogóle możliwe? No cóż... no właśnie... tak, to niedopuszczalne, aby okradać jego eminencję. Całkowicie się zgadzam. Tak, dam znać o rozwoju wypadków. Tak. Do widzenia. – Komendant zakończył rozmowę wyczerpanym głosem, a zanim jeszcze zdążył zauważyć zbliżającego się naczelnika, mruknął pod adresem rozmówcy: skurwysyn jebany.

– Rozdziobią nas kruki i wrony? – powitał Kurtz przełożonego. Tamten podniósł wzrok.

– Raczej połkną i wysrają na śmietnisko historii! – odciął się nerwowo. – I niech ci nie będzie za wesoło, zajmij się tym od razu. Odzyskaj ten główniany samochód i złap złodziei. Naczelnik pokręcił przecząco głową, siadając bez zaproszenia.

– Ten „mietek” jest już pocięty na kawałki. Możemy kupić jakiegoś „lewusa” i przebić numery. Chłopaki z warsztatów na Podolanach pewnie to potrafią – powiedział bez cienia uśmiechu.

– Naczelniku Kurtz, co wy mi tu pierdolicie! – wrzasnął inspektor, który w końcu nie wytrzymał. – To, że się znamy tyle lat, nie znaczy, że nie mogę kopnąć was w dupę! Masz odzyskać ten samochód, i to najpóźniej w dziesięć dni. Jak nie, to się tu nie pokazuj. I tak już raz zmoczyłeś dupę z tymi swoimi wywiadowcami – przypomniał histerycznym tonem.

– Uniewinnili ich – Kurtz nie dał się wprowadzić z równowagi.

– Ale smród pozostał! A mi tu tego nie potrzeba, za godzinę chcę mieć raport! Co zginęło prócz samochodu? Plany działań na najbliższe dwadzieścia cztery godziny!

– Tak jest – naczelnik zerwał się i już chciał zasałutować do swojej łysej, gołej głowy, ale wzrok komendanta go powstrzymał.

5.

Kurtz zwołał naradę na za dwadzieścia dziewięć. Przybyła cała „samochodówka” i chłopaki z „wywiadu”. Ci ostatni byli odpowiedzialni za werbowanie tak zwanych OZI, czyli osobowych źródeł informacji. Wykonywali też „operacje specjalne” zlecone przez kierownictwo wydziału. Robota była niezwykle trudna. Wymagała balansowania na granicy prawa, więc „świętymi” być nie mogli i nie byli. Kłamali, zwodzili, zaciemniali i pili na umór, z kim było trzeba. Zapewne gdyby dowiedział się o tym ów mazowiecki Katon dzwoniący rano z sądu najwyższego, dostałby zawału lub popadł w egzaltowany obłąd. Jednak rzeczywistość jest, jaka jest, a dzięki pracy wywiadowców policja pozyskuje informacje, bez których niemożliwe jest wykrywanie poważnych przestępstw.

– Jarek – naczelnik zwrócił się do lidera sekcji samochodowej – wytypujesz grupy operujące w okolicy Łazarza, członków, adresy, „dziuple”, telefony i dotychczasowe notowania. Mirek, Waldek i Olo, jest czwartek, dzień „targowy”, pojedziecie na giełdę samochodową do Przechmierowa. Sprawdźcie wszystkie stragany z kłopotami. Załatwiłem kilku mundurowych z Tarnowa i z oddziałów prewencji. Jurek i Adam, zróbcie listę „dziupli” i warsztatów, o których wiemy, przyjdźcie z tym do mnie. Witold, tu masz papiery, pisz sprawozdanie do komendanta. Wszystko i na okrągło.

Witold westchnął, biorąc papiery. Pisanina to „ulubiona” praca kryminalnych.

Kurtz zwrócił się do członków zespołu werbunków.

– Przejrzyjcie źródła, szczególnie tych, co mają kontakty ze złodziejami samochodów. Umawiajcie się na spotkania, i to szybko.

Ludzie zaczęli się rozchodzić do swoich zadań. Niezaczepiony dotychczas brunet o mrocznym spojrzeniu zaczął tak jak inni kierować się do drzwi. Kurtz go zawołał.

Tamten obejrzał się niechętnie. W jego szklistym wzroku pojawił się niepokój. Starannie skrywany, ale widoczny dla wprawnego Kurtzowego oka. Marcin stanął czujnie metr od drzwi.

– Mam dla ciebie robotę – usłyszał.

– Mam dość, naczelniku!

– To ja mam dość tego spuszczenia się nad sobą. Było, minęło, a żyć i działać trzeba dalej

– Kurtz mówił jak do dziecka, spokojnie i wyraźnie.

– A gdyby pana zamknęli na rok do pierdła?! Czy byłby pan tego taki pewien? – wybuchnął policjant. Czuł wściekłość, miał żal do całego świata i chyba się bał. Był to rodzaj furii zaszczutego zwierzęcia, które czuje, że koniec jest bliski. Oczy pałały chęcią zemsty, a sine wargi uniosły się, ukazując białe, duże zęby.

– Wolę cię już takiego – powiedział cicho Kurtz – wiem, że dostałeś w dupę, ale dość tego. I dość tego chlania po kątach! Ile ci zostało do emerytury? – zapytał nagle.

– Dwa miesiące – odrzekł zaskoczony Marcin.

– Mamy tydzień na znalezienie tego „mietka”. Jak go nie odzyskamy, to wylecę ja, a ty razem ze mną. Rozumiesz? Mają mnie dość, a ja mam dość ich. Karczewski gadał ze mną dziś jak z kumplem, ale wiem z kadr, że szykuje moje odwołanie. Ta sprawa może nas wyciągnąć albo pogrążyć.

Marcin wpatrywał się w naczelnika z niedowierzaniem. Kurtz był ostoją. Przeżył już tytuł komendantów, że można by ich gwiazdkami wyłożyć promenadę w Międzyzdrojach, lecz widocznie i na niego przyszedł czas. Policjant zdawał sobie sprawę, że tylko on go chroni i jako jedyny przez cały ten okres nie wątpił w jego niewinność. Mało tego, pomagał mu, kiedy siedział w celi rawickiego aresztu, jemu i jego rodzinie. Rodzina i tak się rozpadła. Żona nie wytrzymała ciśnienia, żądając rozwodu podczas jego po-

bytu w więzieniu. Po uniewinnieniu i wyjściu był wrakiem człowieka. Jednego wszak był pewien, ufał Kurtzowi.

– Co mam robić?

– Najpierw oddaj tę nadpita flaszkę z szafy pancерnej, a potem pogadamy.

Marcin zdziwił się. Nie tym, że naczelnik wiedział o wódce, gdyż on zawsze wszystko wiedział. Ale po co mu ta flaszka?

6.

Kurtz, wchodząc tego ranka ponownie do gabinetu komendanta, mrugnął do ładnej sekretarki.

– Są już wszyscy. Od pół godziny – powiedziała cicho.

W pokoju szefa siedziało pięciu mężczyzn w mundurach. Karczewski u szczytu konferencyjnego stołu, po jego prawej inspektor Żwirski, pierwszy zastępca do spraw kryminalnych, po lewej podinspektor Muchomorski, drugi zastępca do spraw prewencji. Pozostałymi uczestnikami spotkania byli rzecznik prasowy komendy oraz naczelnik wydziału dochodzeniowo-śledczego Kazimierz Wazeliński.

Oczy wszystkich zwróciły się na wchodzącego. Jego szary garnitur kontrastował z ich umundurowaniem. Naczelnik podał szefowi plik dokumentów.

– Do zatwierdzenia – wyciągnął się wygodnie na szerokim krześle. Żwirski spiorunował go wzrokiem. Mała głowa z ospowatym nosem okręciła się na długiej szyi, śledząc każdy ruch Kurtza. Znany był z zamiłowania do „kultury osobistej” i wojskowego drylu. Mundury miał szyte na miarę, a ruchy sztywne i wystudiowane. Szklany wzrok wwiercał się w naczelnika nieprzyjemnie. Ten zdawał się nic z tego sobie nie robić. Mówił dalej.

– Kryminalni ze wszystkich komisariatów mają wytypować warsztaty i „dziuple”. Potrzebuję po dwóch mundurowych do każdej grupy. No i po jednym dochodzeniowcu, ale to załatwi Kaziu – Kurtz spojrzął na naczelnika Wazelińskiego.

– Ale my tej sprawy nie przejęliśmy – odezwał się cienkim głosem wywołany – na razie prowadzi to komisariat Grunwald, oni wiedzą najwięcej i niech się wykażą. Uzgodniliśmy tak z komendantem Żwirskim.

Kurtz rozciągnął duże wargi w kpiącym uśmiechu. Czekał. Żwirski wzrokiem chciał mu zetrzeć ten uśmiech z twarzy. Naczelnik zrozumiał. Wyczekiwali. Nie chcą się narażać. Sprawa będzie rokowała na wykrytą, wtedy ją przejmą. Nie – to zostanie na komisariacie, na który zwali się odpowiedzialność.

Karczewski trawił decyzje. Sytuacja była delikatna. Wypłynął dzięki socjalistom, którzy teraz przegrali wybory. Ostał się jako jeden z nielicznych komendantów i musiał lawirować. Dodano mu Żwirskiego, którego koneksje z rządzącymi liberalami były znane. Trzecią flankę tego „triumwiratu” osłaniał Muchomorski, kuzyn jednego z czołowych, współrządzących krajem ludowców.

– Dasz po jednym chłopaku do każdej grupy, nie musisz brać sprawy. Przynajmniej na razie – rzekł wreszcie.

Wazeliński błyskawicznie zerknął na swego mentora. Uśmiechnięty Kurtz kontynuował.

– Potrzebuję chłopaków z ruchu drogowego. Dostaną numery rejestracyjne samochodów złodziei. Mają ich kontrolować do bólu. W miarę jak będziemy typować osoby, które mogą być w to zamieszane, będę im przekazywał dane. Co do wejścia na „dziuple”, to na dziś mamy cztery adresy. Więc potrzebuję cztery zespoły z AT.

– Załatwione – stwierdził ponuro Muchomorski, zanim Karczewski zdążył na niego spojrzeć. Ten facet nigdy się nie uśmiechał. Jego twarz, jak i cała sylwetka przypominała pit-bulla. Nie był zbyt lotny, ale za to konkretny.

– Potrzebuję jeszcze nakazów, ale prokurator będzie wolny za godzinę lub dwie, więc po południu ruszamy.

– Prokurator już na ciebie czeka w okręgówce – wyjaśnił mu Karczewski – i sądy również. Naczelnik zdziwił się, choć nie dał tego po sobie poznać.

– No i jeszcze ktoś musi pojechać do tego biskupa i go przesłuchać.

– Ty pojedziesz – zagadnął Żwirski. – I to nie biskup, tylko kardynał.

Kurtz czuł, że go wrabiają. Nie miał zamiaru im tego ułatwić.

– Ja? Mój ojciec był protestantem, a matka jehową, nawet nie wiem dokładniej co się mówi do takiego faceta w sukience. Niech Kaziu jedzie, on lata na wszystkie msze po Poznaniu. Naczelnik dochodzeniówki oblizal szybko wargi. Kurtz widział, że aż się pali do tej roboty. Jego kariera do naczelnikowskiego stolca wiodła przez różne zachryście.

– Naczelnik Wazeliński zajmie się analizą dokumentacji – stwierdził tonem nie znoszącym sprzeciwu Karczewski – pojedziesz i przesłuchasz jego eminencję. Albo lepiej przepytasz bez protokołu i napiszesz mi raport z tej rozmowy.

A więc tak to sobie wymyślili – skonstatował w myślach Kurtz.

– A co z mediami? – zapytał.

– Tym się nie martw – Karczewski patrzył na milczącego dotąd blondyna.

– Już z nimi gadałem, rozumieją powagę sprawy – ów, uśmiechając się pokazał kolekcję nieskazitelnych zębów.

Kurtz z niedowierzaniem patrzył na siedzących, sprzymierzyli się nawet z pismakami. Musieli dotrzeć do szefów mediów w redakcjach. Zagwizdałby, gdyby mógł.

– O dwunastej u mnie odprawa wszystkich szefów grup – rzucił, aby cokolwiek powiedzieć.

– Dobra. Bierz się do roboty, Kurtz – podsumował szorstko szef wielkopolskiej policji. Ten wstał, ale nikt się poza nim nie ruszył.

## 7.

Estakada ulicy Estkowskiego, będąca częścią trasy Warszawskiej, przecinała Ostrów na pół. Wdzierała się tutaj jak wściekły wąż do spokojnego starego ogrodu. Cywilizacja z tysiącami pędzących codziennie samochodów zagłuszała spokój tego miejsca.

Kurtz czuł się w tym miejscu podobnie, szorstki intruz zakłócający harmonijną ciszę. Zdawał sobie sprawę, że to tylko pozór. Pod powierzchnią tego mylącego spokoju tętniło życie, nie mniej bujne i drapieżne niż gdzie indziej.

Kurtz otrzymał chrzest jako syn katolików, ale jego stosunek do Kościoła był obojętny. Nie zwracał sobie tym głowy. Co do Brodatego Jegomościa z surowym wzrokiem, też go nie obchodził, bardziej interesowały go przyziemne strony życia. Szczególnie to, co do ziemi składa – Śmierć. Tę rozumiał i czasami krzyżował jej plany. Częściej jednak po prostu po niej sprzątał. Na dziedzińcu pałacu przywitał go z kolumny święty Jan Nepomucen oraz nieco bardziej żywy sekretarz kardynała. Nie czekał, co przyjął za złą monetę.

– Witam waszą eminencję – odezwał się z lekkim zażenowaniem naczelnik, wchodząc do wysokiego gabinetu. Po raz pierwszy był na „kościelnych salonach” i nie bardzo wiedział, jak się zachować przy „pierwszym po Bogu” w Poznaniu. Z ulgą przyjął, że nie musi całować dłoni z pierścieniem.



Ubrany w garnitur kardynał, mocno dzierżąc dłoń policjanta, wyczuł skrepowanie gościa.  
 – Dzień dobry panu. Jak widzę, wielkopolska policja nie zasypia gruszek w popiele, tylko działa! Bardzo dziękuję za przybycie, panie naczelniku Kurtz – kardynał miał nie tylko doskonałą pamięć do przekazywanych mu informacji, ale też niesamowitą zdolność zjednywania sobie ludzi. Chwycił pod łokieć swego gościa i poprowadził do renesansowego fotela. Policjant przyglądał się kardynałowi z ciekawością. Zanim przyszedł, zebrał wszelkie dostępne informacje na jego temat. Lubił być przygotowany.

Kardynał był typem naukowca. Ukończył seminarium w wyróżnieniu. Późniejsza praca dyplomatyczna w Watykanie przyniosła mu biret biskupi i szacunek.

Oponenty nie wierzyli w szybkie uporządkowanie spraw diecezji, kiedy został metropolitą. W ogólnej opinii był zacytany w niezrozumiałych zwojach i oderwanym od polskiej rzeczywistości mnichem. Mylili się.

– Mój szef kazał przeprosić eminencję, jest niezwykle zajęty...

– Oczywiście, rozumiem. Dzwonił do mnie. Z pewnością szef policji ma ważniejsze sprawy niż szukanie skradzionego auta.

Gdybyś ty wiedział – pomyślał, wzdychając lekko naczelnik – jakie to on ma ważne sprawy.

– Widzi pan – kontynuował gospodarz – ta cała sprawa jest żenująca, takie rzeczy po prostu się zdarzają, a ludzie mają tendencje do nadzwyczajnego traktowania ludzi, hm... na stanowisku. Ksiądz kanonik, u którego gościłem, kiedy to się stało, o mało nie dostał zawału – kardynał uśmiechnął się nieco ironicznie – tak samo mój sekretarz. Nie chciałbym, aby pan w jakikolwiek sposób czuł się zobowiązany lub zobligowany ze względu na urząd, który piastuje.

– Ale...

– Tak, wiem, wiem. Zaraz mi pan powie, że wy tak w każdej sprawie i tak dalej – purpurat machnął ręką – proszę nie zwracać uwagi na ewentualne naciski. One na pewno nie będą pochodzić ode mnie. Ludzka ułomność polega również na tym, że niektórzy wierzą, iż są kimś lepszym od bliźniego, i korzystają z każdej okazji, aby to udowodnić. Chęć przypodobania się lub też pozorowanej opieki jest po temu najlepszą sposobnością.

– Rozumiem – mruknął naczelnik, byle coś powiedzieć.

– Władza i pycha to straszliwe kusicielki. Do dziś wspominam, jaka była atmosfera w Kościele, gdy obejmowałem swój urząd. To właśnie pycha i władza doprowadziły mojego poprzednika do przekonania, że można kryć pedofilię niektórych księży, panie naczelniku Kurtz – wzrok kardynała na sekundę stał się twardy. Naczelnik zdał sobie sprawę, że ten człowiek ma stalową wolę. Nie bez kozery mówiło się o nim jako o murowanym kandydacie na prymasa Polski.

– Kurtz, Kurtz? To chyba niemieckie nazwisko – zainteresował się nagle duchowny.

– Tak. Moi przodkowie byli Niemcami, którzy przybyli tutaj w latach 30. XIX wieku. Co ciekawe, ze Szwecji. W tym czasie w Skandynawii panował głód. Mój prapra... był młynarzem i osiadł nad Welną niedaleko Rogoźna. Wtedy osiedlało się w Polsce wielu emigrantów z Europy, Żydzi, Holendrzy, Niemcy...

– Tak – zamyślił się kardynał – i oni wszyscy doskonale współlitolnieli. Pomimo różnej kultury, religii i zasobności. Taka mozaika niejako wymuszała tolerancję i szacunek dla drugiego człowieka.

Kurtz czuł się przy tym człowiekiem jak uczeń. Właściwie już chciał mu pomóc z własnej nieprzymuszonej woli, co u starych wyg policyjnych jest rzeczą dość rzadką. Otrząskani z rzeczywistością i wszelkiego rodzaju ludzkimi słabościami nie kwapią się zbyt do wychodzenia przed szereg. Raczej oceniają zimnym okiem fachowca to, co musi być w danej

sprawie zrobione. Kardynał nie powiedział tego wszystkiego pod publiczność, on w to wierzył, a naczelnik był o tym przekonany. Znał się na ludziach.

– Ma pan... to znaczy wasza eminencja ma rację – poprawił się i obaj się roześmiali.  
 – A co do skradzionego samochodu i rzeczy, postaram się zrobić swoje. Sympatie czy antypatie nie będą miały na to wpływu – podjął Kurtz – to mogę obiecać. W końcu jest ksiądz kardynał również obywatelem, a my się o obywateli troszczymy – naczelnik zwilżył usta językiem, aby się w niego nie ugryźć, ale kiedy spojrzał ponownie w oczy metropolity, te nadal tryskały iskrami wesołości.

8.

Nim jednak opuścił pałac metropolity, Kurtza czekała jeszcze jedna rozmowa. Sekretarz poprosił go do swojego biura. Tam czekał na nich ascetycznego wyglądu człowiek w sułtanie przepasanej fioletowym pasem. Pokój był zacieniony, pomalowany na bladą zieleń. Zimny. Gospodarz wydawał się podobnego usposobienia.

– Nazywam się biskup Xawery Rannicki – powiedział mocnym głosem, wstając zza biurka. Podał Kurtzowi rękę, unosząc ją lekko. Policjant zrozumiał gest, ale tylko nią lekko potrząsnął. Biskup opadł z powrotem na obity pluszem fotel.

– Pański szef poinformował mnie, że jest pan najlepszym śledczym, jakiego ma wielkopolska policja – stwierdził sceptycznie biskup, patrząc surowo na czerstwą twarz naczelnika, która dziś szczególnie mocno była poprzecinana fioletowymi żyłkami. – Rozumiem, że ma pan już jakiś ślad i wkrótce winni zostaną ukarani?

– Można tak powiedzieć – wymamrotał stojący przed biurkiem Kurz.

– Rozumie pan chyba, że ten skandal musi się szybko zakończyć. Okradziono KARDYNAŁA – to niedopuszczalne! Nie mówię o samochodzie. Zginęły insygnia władzy metropolitalnej. Pastorał, unikatowy mszał oraz paliusz. Paliusz jest czymś świętym! Nadaje go sam ojciec święty, i to tylko raz. On się musi znaleźć!

– Rozumiem – odparł cicho Kurtz, nadając swej twarzy wyraz zatroskania. Kiedyś denerwowały go takie gry, ale z czasem zaczęły bawić i stał się w nich prawdziwym mistrzem.

– Czy na pewno rozumie pan powagę sytuacji, naczelniku? – dopytywał się biskup. – Od tego zależy przyszłość!... – purpurat zamilkł, a oczy uciekły w bok.

Kurtz czekał na ciąg dalszy. Ale szybko zrozumiał, że go nie będzie.

– Oczywiście – odparł.

– Jestem w kontakcie z pańskim szefem odnośnie śledztwa.

– Bardzo proszę – ton naczelnika był obojętny. Czuł na sobie orli wzrok. Coraz bardziej palący i zirytowany.

– Te przedmioty... – biskup przerwał nagle. – A teraz dziękuję, to wszystko.

Kurtz podreptał, nie oglądając się, do drzwi. Tam przejął go zdenerwowany sekretarz.

9.

Naczelnik Kurtz, popijając trzecią tego dnia kawę, śledził uważnie słowa na ekranie laptopa. Była to strona z hasłem: Paliusz.

Paliusz metropolitalny to biały wełniany pas, zakładany na ornat na ramiona i opuszczany końcami na piersi i plecy. Ozdobiony wyszytymi sześcioma czarnymi równoramiennymi krzyżami. Nadaje go papież na znak lojalności wobec siebie i stolicy apostołskiej.

O żesz ty! – pomyślał naczelnik – ten bufon w fioletowej mycce mówił prawdę, to rzeczywiście insygnia władzy. Ciekawe tylko, że sam kardynał o nich nie wspomniał. Czyżby był aż tak wyzwolony, że nie przywiązywał wagi do symboli i gadżetów? Czy to była poza i zasłona dymna, a atakującym był surowy biskup?

Zastanawiał się nad osobowością kardynała. Zdawało się, że dla niego liczy się człowiek i jego nierozzerwalna więź z Bogiem. Kurtz raczej się nie mylił co do ludzi, ale ta sprawa była zastanawiająca, a postawa hierarchów przedziwna. Czy też grywają w najstarszą grę władzy, w dobrego i złego księdza?

10.

Czym jest ból? Nie ten fizyczny, kiedy złamiesz rękę, tylko ten wewnętrzny, który nawet teraz go przeszywał i paraliżował w najmniej odpowiednich momentach. Coś zaciskało się na sercu, dławiło oddech i nakazywało bać się ludzi. Mielilo przeszłość, nie pozwalając skupić się na teraźniejszości. Zarzucało mu naiwność i głupotę, częściej jednak obwinało wszystkich za jego nieszczęście.

Patrząc w boczne lusterko skody, widział to coś będące jego własną twarzą. Musiał się powstrzymać przed ochotą odkręcenia szyby i stłuczeniem lustra. Jego dwóch kolegów dyskutowało zawzięcie o ostatnim meczu Lecha Poznań, a on tego nie słyszał. A przecież miał wytatuowany na ramieniu herb tego klubu. Od tego pochodziła jego ksywka „Kolejorz”. Ten kurewski ból samego istnienia przyprawiał go o mdłości, wyrzygałby się chętnie, gdyby nie tych dwóch. Właściwie po co ich mu przydzielono? Mieli go pilnować czy kontrolować? Czy Kurtz już mu nie ufał?

Ostatkiem sił odegnał te myśli. Znał tych ludzi. To może nie byli jego kumple, ale razem pracowali od lat w wydziale.

Po chwili wytchnienia znów go dopadło. Zapadał się w czeluście żalu, bezsensu i wściekłości. Najgorsza była bezwolność. Staczał się, nie będąc w stanie nic zrobić. Wydawał się sobie widzem, który ogląda koniec jakiegoś bohatera, angażuje emocje, zaciska palce, ale nie jest w stanie nic zrobić. A tu nie chodziło o celuloidową taśmę, lecz o jego życie.

Skupił się nad tym, co powiedział Kurtz. Pierdolić samochód, i tak już pewnie jest pocięty! Trzeba odzyskać fanty, a najważniejszy jest paliusz.

Dziwne i śmieszne słowo usłyszał po raz pierwszy. Musiał się dopytać, co znaczy. Dla niego zabrzmiało jak palec Boga. Boga, który wskazuje człowieka i określa jego los. Czy było przypadkiem, że to on miał odzyskać ten „palec wskazujący”? Uczepił się tej tezy. Co prawda poważanie Boga pozwalającego na to, co ludzie robią ludziom, było dla niego już nie do przyjęcia. Może jednak ta sprawa jest rodzajem próby? Czy jeśli odzyska paliusz, wszystko, co dotąd wydarzyło się złego w jego życiu, wyprostuje się i powróci to, co było?

Nie był religijny, a katolikiem był tylko z nazwy. Mimo to jego umysł rozpaczliwie czepiał się pojęcia świętości, by znaleźć oparcie i nie runąć w dół.

Nadzieja na cud sprawiała, że jego oszalały umysł uspokoił się, a niczego teraz więcej nie pragnął. I postanowił to poczucie złudnego bezpieczeństwa utrzymać za wszelką cenę, nawet za cenę prawdy.

11.

Na spotkanie z OZI miał iść sam. To był jego kontakt, a żaden szanujący się policjant nie pali swoich najlepszych źródeł.

Kontaktem był niejaki Waldemar Dragoński zwany w środowisku jako „Drago”. Miał czterdzieści kilka lat i był jednym ze starych bossów „podziemnego” Poznania. Tylko on jeden przeżył długą drogę dwudziestu lat transformacji Polski i podziemia. Na początku lat 90. kradł samochody, potem przyszły wymuszenia i dziwki z Ukrainy. Po okresie wojen, kiedy to granaty wybuchały pod sklepami konkurencji, podział wpływów wykrystalizował się. „Drago” miał już wtedy sieć ekskluzywnych burdeli, a do tego kilkadziesiąt komisów samochodowych. Zawsze był bystry, co z reguły jest dość rzadkie u gangstera. Posiadał też cechę, która jest niezbędna dla prawdziwego przywódcy: był bezwzględny.

Kiedy jego najbliższy współpracownik zaczął go „dymać” z pieniędzy, wkrótce przejechał się własnym bmw na trasie warszawskiej. Mimo że teren był płaski jak stół, a lewarek niedokręcony, sprawę uznano za wypadek. Waldek już wtedy znał kogo trzeba w policji i prokuraturze.

Siedział tylko raz za głupie wymuszenie. Pomimo że świadkowie i pokrzywdzony odwołali swoje zeznania na procesie, młody łysy sędzia z zasadami go posadził.

Jedynym słabym punktem Waldka była Diana. Jego o dwadzieścia lat młodsza kochanka, którą wyrwał z zapyziałego Krotoszyna.

Marcin nigdy nie dotarłby do „Draga”, który obecnie był właścicielem kilkunastu tysięcy hektarów pól, łąk i lasów oraz sieci około 400 sklepów drogerijnych. Ostrożnie wspierał finansowo tego czy tamtego posła, zapraszał na polowania szefów największych polskich spółek i tak dalej.

To oczywiście plasowało go pośród polskiej elity i dawało szansę na zostanie, kimkolwiek by zechciał. „Drago” pozostawał jednak w cieniu. Jego interesy prowadzili inni. Sieć mądrze pozakładanych spółek i firm na figurantów skutecznie gmatwała powiązania, za którymi stało jego nazwisko. Ktoś taki był nietykalny.

Jednak dwa lata temu, kiedy Marcin werbował „wtyczkę” w grupie handlującej bronią, dowiedział się przypadkiem, że ktoś szykuje się na wojnę z „Dragiem”. Rywalami byli „młodzi gniewni” z Rataj, którzy okradli jedną z firm Waldka. Kazał im oddać forszę, ale ci naćpani idioci postanowili z nim powalczyć. Za pierwszy cel obrali sobie Dianę.

Marcin wyczuł okazję i w końcu dotarł osobiście do Drago. To zapoczątkowało ich znajomość. Nie była to przyjaźń, ale Drago pamiętał o Marcinie, kiedy ten naprawdę czegoś potrzebował. Tamci czterej młodzi ludzie po prostu wyparowali. Marcin sprawdzał w policyjnej bazie danych, czy nadal figurują jako zaginieni. Figurowali.

Informacje „Draga” zawsze były pewne, a możliwości dotarcia fantastyczne. To był ich pierwszy kontakt od jego aresztowania. W tamtym momencie nawet „Drago” nie mógł mu pomóc. Choć podejrzewał, że dobre traktowanie w celach rawickiego aresztu zawdzięczał również jemu.

Wysiadł przed okazałą kamienicą na Górnej Wildzie. Na mosiężnych tabliczkach przy drzwiach wypisane były nazwy spółek i kancelarii prawnych, które miały tu siedzibę. Zadzwoił pod ósemkę.

„Drago” się nie zmienił. Średniego wzrostu, szczupły szatyn z krótko obciętymi włosami. Tężyznę zapewniał sobie codzienną partią tenisa ziemnego. Powitał gościa z sarkastycznym uśmiechem. Obejrzał go od góry do dołu.

– Schudłeś – roześmiał się.

– Rawicki wikt był dość kiepski, choć pewnie mógłby być jeszcze gorszy? – stwierdził, jednocześnie pytając, policjant.

– No mógł – westchnął Waldek. – Po coś ty się, kurwa, w to pchał? Trzeba było się zapytać.

– Trzeba było. Nie ma o czym gadać. Sprawę mam pilną – Marcin zmienił temat – ukradli samochód...

Dragoński zaczął się śmiać.

– To kupię ci nowy!

– Nie mnie, tylko arcybiskupowi. Zresztą chuj z tym samochodem!

– Aha, coś słyszałem, ale za dużo o tym w radio nie gadają. A co ja mam z tym wspólnego?

– Ty raczej wiesz, co się dzieje, albo możesz wiedzieć – Marcin zrobił skwaszoną minę.

– A co ja będę z tego miał? – „Drago” był ubawiony.

– Moją dozgonną przyjaźń i błogosławieństwo boże – obaj wybuchnęli śmiechem. – Nie muszę wiedzieć kto. Chodzi o fanty, złodzieje mi niepotrzebni.

„Drago” przypatrywał mu się, nalewając jednocześnie żubrówkę do kryształowych szklanek. Jedną podał Marcinowi. Ten sięgnął po nią, ale potem odmówił.

– Może to i lepiej. Kiepsko wyglądasz.

Mniej więcej w tym samym czasie poszczególne policyjne grupy, działające w ramach operacji o kryptonimie „Kardynał”, przeszukiwały wytypowane garaże, warsztaty i posesje. Przeszukania były według instrukcji Kurtza bardzo szczegółowe, a policjanci „upierdliwi”. Spisywali każdą część, każdy samochód, nawet lusterka. Jeśli ktoś się „stawiał”, był kuty przez komandosów, otrzymując przedtem kilka bolesnych ciosów łufami ich peemów. Wkrótce kilku zatrzymanych, u których znaleziono kradzione radia, części samochodowe lub narzędzia do włamań, stanęło przed prokuratorem, a ten bez ociągania kierował wnioski do sądu o areszt. Telefony się rozdzwoiły. Właściciele warsztatów, złodzieje, mechanicy koniecznie chcieli wiedzieć, co odbiło glinom.

Jeszcze gorzej było na giełdzie samochodowej. Tym razem nikt nie uprzedził handlarzy o akcji. Zamknięto bramy i „czesano” stragan po straganie. Handel został wstrzymany, a wstrzymanie go oznaczało straty. Wszyscy byli wściekli.

12.

Kurtz zabrał się za zaległe papiery. Zawsze jest ich mnóstwo, a teraz przez paliusz zrobiło się ich jeszcze więcej. Miał na tapecie ustalenia dotyczące ostatniego zaginięcia, które pewnie zakończyło się zabójstwem, i studiował relację z analizy materiałów, sporządzoną przez sekcję lidera sekcji pierwszej. Pracę przerwało pukanie do obitych od wewnątrz sztuczną skórą drzwi, w których pojawił się lider „samochodziarzy”. Jego twarz rozjaśniał uśmiech.

– Dwunastu zatrzymanych. Wszyscy z wnioskami o areszt jadą do sądu. Odzyskałiśmy dwa auta. Jedno skradzione u nas, drugie w Gdańsku. I od groma części od kradzionych samochodów. Chłopaki na Gołęczynie przeklinają nas, bo zajęliśmy wszystkie wolne garaże! Oczywiście będzie mnóstwo skarg, ale wszystko było zgodnie z prawem! Ale po mercedesie ani śladu, nikt nic nie wie – posmutniał.

– No to pięknie. Powiedz chłopakom, że za dwa dni powtórka. Niech sobie piszą nadgodziny i mi nie marudzą. Typujcie kolejne warsztaty i złodziei.

– Naczelniku?

– Co?

– Tego auta już pewnie dawno nie ma. Kto się odważy zgłosić z nim do nas?

– Zobaczymy, zobaczymy – rzekł Kurtz, który nagle stracił zainteresowanie rozmową. Poszedł va banque i zdawał sobie z tego sprawę. Albo środowisko się zintegruje i wskaże złodziei oraz odda skradzione rzeczy, albo potną i spalą wszystko, a on zostanie spalony

razem z tymi kłopotami. Liczył jednak na ich chciwość oraz na kontakty Marcina. Na razie oni tracili, a on spokojnie czekał. Czas na razie działał na jego korzyść, ale to się wkrótce zmieni. Musi ich przycisnąć do muru, na ile się da. Wybrał numer naczelnika wielkopolskiej drogówki.

– Cześć, Heniu. Niech te twoje charty wezmą się za tych, co wyjeżdżają z giełdy. Karać i spisywać za wszystko! – dodał z sardonicznym uśmiechem.

– Ale mam „nadgabaryty” do obstawienia w nocy!

– Nadgabaryt to sam będziesz miał, jak tam nie będzie z dziesięciu radiowozów! Polecenie samego OI! – stwierdził półprawdę Kurtz.

– Dobra, coś wymyślę – odparł z rezygnacją szef RD.

– Ty nie myśl, tylko działaj – zaśmiał się kryminalny. – Kiedy gramy w brydża?

– O! Może w sobotę? – Henio był fanatykiem gry. – Namówię Staszka i Daniela, pasuje ci?

– Stoi. Tylko niech ci twoi walą mandaty za wszystko.

– Spokojna głowa, to my jesteśmy panami szos – zarzął w słuchawce śmiech naczelnika o brydżowym zacięciu.

Tego popołudnia wyjeżdżający z giełdy i „szrotów” z częściami samochodowymi byli jeszcze bardziej wściekli. Nie pomagały wykręty i znajomości. Próby przekupstwa kończyły się zarzutami dla próbującego. Glinom odbiło, a mandaty sypały się lawiną. Dowody rejestracyjne były odbierane za rysę na szybie.

Pewne poznańskie radio żyjące z reklam samochodowych stwierdziło w krytyce, że jest to prawdziwa pacyfikacja. Nie podało tylko jej prawdziwej przyczyny. Nikt nie podał, ale już wszyscy wiedzieli, o co chodzi. Nieważny mercedes i cała reszta, ma się znaleźć paliusz! Początkowo nikt nie wiedział, co to do cholery jest! Lecz wkrótce wszyscy go szukali, nie wyłączając policjantów oczywiście.

### 13.

Naczelnik umówił się tego wieczora ze swym starym przyjacielem. Poznali się grubo ponad trzydzieści lat temu, w ławie szkolnej liceum ogólnokształcącego w Rogoźnie.

Kurtz, który w swych młodych latach był typem dość niepokornym, doszłusował do trzeciej klasy w połowie roku. Było to jego trzecie liceum. Rodzice postanowili wysłać syna poza Poznań, aby odciąć go od „nieciekawego”, jak wyraził się ojciec, towarzystwa. Padło na Rogoźno, gdyż tam mieszkała jego babcia ze strony matki.

Rogoźno było niewielką dziurą w północnej Wielkopolsce. Czas upływał tutaj znacznie wolniej niż gdzie indziej, tak przynajmniej zdawało się ludziom tu mieszkającym.

Podczas ponadsiedemsetpięćdziesięcioletniej historii zmieniało się intensywnie, zawsze jednak było miastem królewskim. Kochał je Przemysław II, który stracił tutaj życie. Doceniał Władysław Jagiełło, lokując zamek i starostwo. Zygmunt Stary oraz Batory, wdzięczni za wkład rogoźnian w walkach o Rzeczpospolitą, nadawali kolejne przywileje. Miasto podniosło się po „szwedzkim potopie”, a król August potwierdził prawa miejskie. Właśnie z uwagi na tę „królewskość” pruski zaborca pozbawił miasto starostwa, przenosząc je do o wiele wtedy mniejszych Obornik. Mieszkańcy zerwali pęta w Powstaniu Wielkopolskim, dając Niemcom niezłe baty. Potem Rogoźno długo było miastem szkół. Najślynniejszą z nich było liceum, które istnieje od 1868 roku. Szkoła wydała wielu wybitnych absolwentów, choć naczelnik Kurtz skromnie się do nich nie zaliczał.

Krnąbrny Kurtz zakolegował się z nad wyraz spokojnym Romanem Gralskim. Przeraził wie chudym młodzieńcem o sępiej głowie na długiej wiotkiej szyi. Na tę przyjaźń wielki

wpływ miało pewne wydarzenie, które miało miejsce w męskiej toalecie liceum imienia Przemysława kilka dni po przybyciu Kurtza do Rogoźna.

Kilku chłopców z klasy maturalnej znęcało się tam nad Romkiem Gralskim, usiłując wektnąć mu głowę w muszlę klozetową. Młody Kurtz wszedł tam niespodziewanie, zajmując miejsce na wprost pisuaru. Będąc w trakcie intymnej czynności, zupełnie nie zwracał uwagi na to, co dzieje się obok. Uważał, że to nie jego sprawa. Jęk spowodował, że odwrócił głowę w tamtą stronę.

– Czego się patrzysz?! – warknął jeden z czwartoklasistów. – Chcesz też wylądować w kiblu? Kurtz splunął tamtemu pod nogi i się zaczęło. Poznaniak zawzięcie ćwiczył boks w Olimpii Poznań. Tamci o tym nie wiedzieli. Stłukł ich na kwaśne jabłko. Tylko interwencji samych poszkodowanych i prymusa Romka Gralskiego zawdzięczał, że nie usunięto go z kolejnej szkoły.

Tak zaczęła się przyjaźń dwóch niesamowitych typów. Wysoki, szczupły Romek o bladej cerze, którą zaczerwieniał rumieniec, ilekroć odzywała się do niego dziewczyna, był zupełnym przeciwieństwem zwalistego, ponurego cynika, w którym kochały się co ładniejsze rogozińskie panny.

W każdym razie przez dwa lata byli nierozłączni. Potem Kurtz poszedł na prawo, a Romek do seminarium. Kiedy świeżo upieczony ksiądz objął wikariat w parafii pod wezwaniem św. Józefa Oblubieńca NMP w Obornikach, Kurtz wstąpił w szeregi Milicji Obywatelskiej. Mimo tej ewidentnej rozbieżności poglądów i zainteresowań przyjaźń przetrwała. Ksiądz prałat Roman Gralski był obecnie dziekanem poznańskiej fary, o której różowo-białe, barokowe mury dbał lepiej niż o własne ciało, i jedynym księdzem, o którym Kurtz mógł powiedzieć, że go zna.

Panowie spotkali się w zaciszu podziemi jednej z rynkowych kamienic, gdzie mieściła się restauracja z bardzo dobrym jedzeniem. Obaj ją uwielbiali, tym razem stawał naczelnik. Ksiądz prałat przez lata służby stracił swą błądź i szczupłość, upodabniając się nieco do brzuchatego od dawna Kurtza.

– Witam waszą ekscelencję – uściskał prałata.

– Witam mojego ulubionego generała – odpowiedział uściskiem tenże.

Po tej wymianie uprzejmości zasiedli do stołu i zajęli się menu. Kiedy wybrali i kelner odszedł, prałat uśmiechnął się ironicznie do naczelnika.

– Ty cwaniaku, nie powiedziałeś mi, że chodzi o tę sprawę.

– Liczyłem na twoje cwaniactwo, paliusze nie giną codziennie.

– Masz problemy z tego powodu?

– Nie większe niż z innych. Poszperałeś w zapomnianych kodeksach?

– Tak. Utrata paliusza to poważna sprawa. Nie wiem, czy zdarzyło się to w ciągu ostatnich stu lat. Paliusz nadaje papież. Przed jego otrzymaniem kandydat przysięga wierność i posłuszeństwo papieżowi. O utracie nie ma wiele. Stare przepisy mówią o wojnie lub pożarze. Kiedy w tych warunkach paliusz zaginął, metropolita, którego to dotyczyło, musiał złożyć odpowiedni wniosek na konsystorz.

Kurtz uniósł brwi.

– To zebranie kardynałów i arcybiskupów.

– Aż tak?

– Biskupi po zbadaniu sprawy zwracają się z wnioskiem do ojca świętego o nadanie nowego paliusza. Kiedy papież to zatwierdzi, znów trafia na konsystorz. Sprawa ponownie jest rozpatrywana. Dopiero wtedy pechowiec może dostać nowy.

- Długo to trwa?
- Minimum cztery, pięć lat.
- Aż tyle?
- Minimum.
- Ale otrzymanie tego ponownie to formalność?
- To zależy – stwierdził prałat, zabierając się za przyniesioną golonkę w piwie. Zrobił przy tym swoją ulubioną tajemniczą minę, którą Kurtz znał od lat. Wiedział, że teraz nastąpi długa i tajemnicza opowieść. Rozsiadł się wygodnie na krześle i czekał. Prałat rzadko mówił wprost, o czym myśli, a za przykładem swego mistrza Jezusa z Nazaretu sprawy istotne opowiadał w przypowieściach. Dawało mu to odpowiedni dystans do sprawy oraz chroniło przed narażeniem się komuś.
- Hm – zaczął ksiądz, dobierając słowa. – Był sobie pewien książę. Był dość bogaty, mądry i dobry w dodatku. Nigdy też mimo swej pozycji nie dawał odczuć innym swej wyższości. Mało tego, należał do tych wyjątkowych istot ludzkich, które bezinteresownie niosą pomoc każdemu potrzebującemu. Miał też jeszcze jedną wyróżniającą go cechę. Nie oczekiwał wdzięczności. Lud czuł się w jego obecności swobodnie, przyjmując jego pomoc bez wstydu. Oczywiście różnił się tym zdecydowanie od innych okolicznych władców, a ludzie oddawali mu niewymuszoną cześć.
- Pewnego razu któryś z jego dynastycznych krewnych oskarżył go przed królem o kradzież. Wszyscy wiedzieli, iż oskarżenie jest wysrane z palca. Wszyscy też komentowali to szeroko. Większość była przekonana, że wyjdzie bez szwanku z tej afery. Inni twierdzili, że sam się o to prosił, nie zachowując się, jak przystało na księcia.
- Wyobraź sobie, że doszło do procesu i nikt, absolutnie nikt nie stanął w jego obronie.
- Kurtz czekał na ciąg dalszy, ale prałat pałaszował już tylko z lubością zasmażaną białą kapustę.
- To hinduska bajka o zawiści? – dopytywał się naczelnik, siorbiąc wielkopolskie piwo.
- Moja... ale o zawiści – usłyszał pomiędzy kęsami.
- Rozumiem. A co się stało z tym księciem?
- Nic. Odszedł sobie. I nikt nie wiedział dokąd.

14.

- Komórka na kartę zadzwoniła po godzinie. Pojechali coś zjeść w okolice Rynku. Wąskie uliczki Starego Miasta działały na Marcina klaustrofobicznie. Nie pił kilka godzin, a organizm, przyzwyczajony od kilku miesięcy do stałych dawek, domagał się kolejnej. Jego partnerzy pałaszowali ze smakiem karkówkę z grilla, a on grzebał widelcem w sałatce z kurczakiem. Wpatrywał się w czerwone i omszałe mury kościoła franciszkanów. Ktoś chciał wejść do świątyni, ale wrota były zamknięte. Szarpnął klamkę, ta jednak nie puściła. Człowiek obrócił się ze spuszczoną głową, po czym ruszył zgarbiony w stronę resztek murów obronnych. Marcin śledził go wzrokiem, kiedy zabrzęczał telefon.
- Stodoła za torami w Gołęczewie. Na faceta mówią Benek – powiedział głos i połączenie zostało zerwane.
  - Koledzy podnieśli wzrok znad obiadu.
  - Gołęczewo. W jakiejś stodole. Gość ma ksywkę Benek.
  - Znam go – stwierdził jeden z kryminalnych. – Zamykałem go kiedyś za uprowadzenie. To pacan, ale może być groźny.
  - To jak? Jedziemy? – zapytał drugi.



Marcin zastanawiał się, czy nie zorganizować tej akcji. Może przydaliby się komandosi i jacyś mundurowi? Z drugiej strony czas był tutaj najważniejszy. Im więcej ludzi, tym groźba dekonspiracji większa. Benek rozpali ognisko i tyle będzie z paliusza. Nie chciał też dzwonić do Kurtza, gdyż ten musiałby wprawić całą maszynę w ruch. Postanowił działać. Nieoznakowany radiowóz zostawili przed zdziczałym sadem. Marcin ze szczuplejszym policjantem poszli od przodu, trzeci członek ekipy, wielki facet z ogoloną głową, zaszedł od tyłu. Podwórko zagrażały wraki kilkunasu aut w różnym stanie pocięcia. Tuż pod ścianą ułożono niedbale stertę kół. Dalej ciągnęły się metalowe regały z częściami, elementami karoserii i szyb.

Marcin uchylił wrota. Dwóch mężczyzn rozbierało passata. Z prawej były drzwi do jakiegoś kantorka.

– Dobry – powiedział głośno, przekrzykując wycie „gumówki”. Jeden z mężczyzn obrócił się, wskazując na drzwi kanciapy.

Policjanci skierowali się do nich. Na brudnym fotelu siedział Benek. Spojrzał na przybyłych i nieco zdrętwiał. Od razu rozpoznał tego, który go kiedyś zatrzymywał.

– Dzień dobry – stwierdził, wpatrując się w niego Marcin.

– Czego? – zapytał, nie siląc się na uprzejmość, „Igiełka”.

– Pewnie wiesz, o co chodzi – odparł policjant.

– Co to, kurwa, ja wróżka jestem? Pokażcie nakaz!

– Pokazać to ja ci mogę, dzbanie, dupę – wycedził Marcin. – Jak ci przeryję ten stragan, to pozostanie ci tylko go zamknąć.

– Ty mnie straszysz? – roześmiał się nerwowo grubas.

– Nie, raczej mówię, jak będzie.

– Spierdalaj – warknął Benek. – Napiszę na was skargę i tyle z tego będzie.

Policjanci uśmiechnęli się jak na komendę.

– Mogę ci dać długopis, a kolega kartkę, bo adres sądu chyba znasz. Co, Benek?

Benek chciał wstać z fotela, ale wybijały brzuch mu przeszkadzał. Do tego Marcin pchnął go nogą w pierś, zagłębiając ponownie w fotelu.

– Co ty, kurwa!

– Się powtarzasz, chłopie – powiedział policjant. – Gdzie jest mercedes i klamoty z niego?

– Jaki mercedes?! – burknął Benek, ale coś zbyt intensywnie wpatrywał się w oczy Marcina.

– Co jest, szefie? – zabrzmiał głos za plecami policjantów. W drzwiach stali współpracownicy Benka, jeden trzymał w ręku rurkę od lewarka, a drugi klucz do kół.

– Nie wiem – odparł, odzyskując nagle rezon, Benek. – Nawet się nie przedstawili.

– Mieciu, muszę ci się przedstawiać? – zapytał jednego z przybyłych Marcin.

Tamtemu zmarszczyło się czoło. Oczy w końcu rozbłysły w akcie olśnienia.

– Nie musisz, nie masz tu czego szukać. Nikt cię tu nie lubi.

– Weź ty, Mieciu, dupę w troki i się nie wtrącaj, kiedy funkcjonariusz policji gada z tym grubasem. Rozumiesz?

– Dobra, dobra. Pokaż nakaz.

– Gdybyście, Mieciu, byli choć odrobinę bystrzejsi i potrafilibyście czytać ze zrozumieniem, tobyście widzieli, że nic wam nie muszę pokazywać. Mogę przeorać tę dziurę na podstawie swojej legitymacji. Ale ty, Mieciu, razem z tym capem jesteś tak głupi, że chcesz się stawiać, a to na dobre nie wychodzi.

Marcin nie widział, po co to robi. Po co ich drażni? Miał zrobić swoje. Czuł napięcie kolegi. Jednak coś popychało go do tej konfrontacji.

– Te, superglina, nie bądź taki do przodu. Podobno nawet twój mają cię już dość. Cienko śpiewałeś w szczecińskim pierdłu.

Jak widać, Miecio był dobrze zorientowany w życiorysie Marcina. Ten zaś próbował po tych słowach powstrzymać atak nadchodzącej furii.

– Może i cienko – wycedził przez zaciśnięte zęby – ale cwelem nie byłem jak ty w Rawiczu. Mieciu ruszył w stronę policjantów, unosząc klucz. Zanim zrobił drugi krok, zdrętwiał. Zaczął się trząść. Metal wypadł z rozwartej dłoni, z brzękiem uderzając o beton. Usta rozchyliły się w niemym krzyku. Zwalił się na podłogę, drgając. Na spodniach pomiędzy udami powiększała się mokra plama. Coś syczało.

To był taser znajdujący się w ręku trzeciego policjanta, który stał dwa metry za Mieciem i jego kompanem. Kabelki wychodzące z tasera, zakończone ostrymi strzałkami, wbiły się w plecy Miecia. Prąd o napięciu 20 000 woltów i niskim natężeniu powalił go w sekundę. Wszyscy na chwilę zamarli.

Benek chciał się ponownie zerwać, ale pięść Marcina osadziła go na miejscu. Facet z kluczem starał się być niewidzialny.

– Posłuchaj, Benek. W dupie mam ten interes. Chodzi mi o fanty z tego skradzionego mercedesa. Przywieźli ci go przedwczoraj. Jeżeli to się nie znajdzie, to powiem handlarzom z giełdy, że ten dym jest przez ciebie. Pojawi się też ekipa i przejrzy wszystko, co masz, coś się znajdzie. Rozumiesz mnie, kurwo?

Oko Benka zaczynało puchnąć, nie był idiotą. Pokiwał głową.

– Masz czas do jutra – rzekł Marcin, wychodząc.

15.

Benek chodził nerwowo po stodole. Myślał, a to zawsze przyprawiało go o ból głowy. Nie lubił się gryźć, lubił spokój, szelest pieniędzy i szczupłe panny. Swędzenie granatowego oka przypominało mu nieustanie o tym, o czym nie chciał pamiętać.

Czekał na nich niecierpliwie w asyście szybkiego do używania rąk Miecia i Piotra o twardym spojrzeniu. Był tym bardziej zestresowany, że zatelefonował do niego „Bonanza”, prawa ręka „Drago”. Benek wykręcał się początkowo, ale tamten powiedział krótko, że fanty mają się znaleźć. A jak nie, to pogadają inaczej. Grubas dostał drgawek. Vespa przyjechała pół godziny później. Prowadził Kusterski, „Kulas” siedział z tyłu. Ledwie weszli do stodoły Norbert od razu wyczuł niezdrowe napięcie. Kusterski zdawał się go nie dostrzegać.

– Co jest, szefie? Nowe zlecenie? – zagadnął Benka.

– Ja ci, kurwa, dam zlecenie, debilu jeden!

– Ale o co chodzi?! Nasze usługi...

– Zamknij się! Komu podpierdoliliście tego „mietka”?

– Stał przed blokiem na Stablewskiego.

– Nie pierdol mi tu, szczylu. Nie przed blokiem, tylko przed plebanią! I wiesz, do kogo należał?

– No nie wiem.

– Do arcybiskupa czy innego kardynała, palancie! Teraz wszystkie psy w mieście go szukają, a ty mi tu głupa rzniesz!

– Spokojnie... – Miłosz nie dokończył. Cios wymierzony potężną dłonią Benka zmiotł go dosłownie z powierzchni ziemi. Skulił się pod warsztatem. Miał szczęście, że grubas nie dzielił go pięścią, tylko otwartą dłonią.

– Macie oddać psom fanty. Wszystko, co zabraliście z tego auta. Zrozumiano?!

Zgarbiony Norbert pokiwał głową, patrząc z lękiem na stojących po obu jego stronach Mietka i Pawła. Ci szczyrzyli zęby w złych uśmieszkach, gotowi się na niego rzucić na jedno skinienie. Kusterski podniósł się, rozcierając bordowy policzek.

– Ale to może oddamy tobie, a ty...

Drugie uderzenie było mocniejsze. Wyrznął głową o kant okutego blachą stołu, rozcinając boleśnie skórę na czole. Zachwiał się zamroczony, ale podtrzymała go wielka łapa Benka. Ramię potrząsnęło chłopakiem jak szmacianą lalką.

– Co ty mi pierdolisz? Ja nie mam z tym nic wspólnego! Sami nawarzyliście piwa i sami je wypijecie. Macie bez pudła zorganizować przekazanie rzeczy. Jak to zrobicie, wasza sprawa. A jak znowu coś spierdolicie, to dostaniecie taki łomot, że nie będziecie mogli już nigdy chodzić!

Tym razem oskarżeni zgodnie potaknęli głowami, milcząc przewidująco.

– Aha – przypomniał sobie Benek – jak któryś z was piśnie słówko na mój temat, to w ogóle nikt już z wami nie pogada.

Vespa odjechała, wioząc smutnych pasażerów.

16.

Dyżurny komisariatu policji Poznań – Jeżyce spojrział niechętnie na dzwoniący od dłuższego czasu telefon. Zbliżała się dwudziesta i za kilka minut kończył służbę. To było dwaście godzin wyczerpującej pracy. Niechętnie podniósł słuchawkę.

– Komisariat Policji Jeżyce, starszy aspirant Jarosław Blaszak.

Z aparatu nie dochodziły żadne dźwięki. Potem usłyszał jakby sapanie. Wreszcie stłumiony głos powiedział:

– Rzeczy skradzione z mercedesa kardynała są w śmietniku na tyłach Zwierzynieckiej. Za murem starej zajezdni. Śmietnik taki z cegły, z metalowym pojemnikiem. Dużym takim.

– Ale o co chodzi? Jaki mercedes? Jakie rzeczy? Pan się przedstawi i...

– Słuchaj – powiedział stłumiony, chyba szmatą, głos – przekaz to tym, co tego szukają. Samochód kardynała. Zielony pojemnik na śmieci! – połączenie przerwano. Aspirant patrzył na słuchawkę. Pojebańców nie brakuje – pomyślał.

Nagle coś zaczęło mu świtać. Włączył ekran komputera, wchodząc w program SWD. Skrót ten oznaczał System Wspomagania Dowodzenia, lecz przez dyżurnych zwany był Systemem Wkurwiania Dyżurnego. Przychodziły na niego wszystkie polecenia i koordynaty z kraju. Wreszcie znalazł. Nad informacją o kradzieży mercedesa widniał napis – PILNE! Na końcu znajdował się dopisek: w razie uzyskania jakiegokolwiek informacji natychmiast powiadomić wydział kryminalny komendy wojewódzkiej. Dalej były numery telefonów.

Zastanawiał się, co zrobić. Ten głos był dziwny, ale mówił z sensem. Mogą go wyśmiać. Ale z drugiej strony, jeśli im tego nie przekaze? Aspirant wybrał pierwszy numer.

17.

Pierwsi na miejscu zjawili się chłopaki z „samochodówki”. Ostrożnie otoczyli teren wokół starej zajezdni. Dwóch z latarkami weszło za mur, szukając śmietnika. Tymczasem przyjechał Kurtz z Marcinem, który przywiózł go z domu. Pojemnik był, ale pusty.

– Wywieźli śmieci! – odkrywczo stwierdził któryś „samochodziarz”. Kurtz tylko na niego spojrział.

– Dzwon do komunalki, niech ci podadzą, kto i o której sprząta te śmieci – rzucił do Marcina. Ten postukał w blat zegarka.

– Jasna cholera! – warknął naczelnik.

– Wysypisko jest w Suchym Lesie – podpowiedział jeden z policjantów.

Gnali na sygnałach przez na szczęście prawie puste ulice. Dostali się na Obornicką i koło kościoła przypominającego ceglany meczet skręcili w prawo. Po pięciu minutach byli pod bramą wysypiska. Człowiek, który wyszedł z portierni, był wyraźnie przestraszony, widząc trzy cywilne radiowozy oraz dziesięciu machających mu przed oczyma legitymacjami policjantów. Ponaglany otworzył bramę. Daleko za wałem słychać było szum pracujących maszyn. Co chwilę wjeżdżały lub wyjeżdżały śmieciarki. Kurtz rozmawiał z dozorcą, po chwili zjawił się jakiś kierownik. Czytali dokumentację. Kurtz mimo protestów kierownika kazał wstrzymać niszczenie śmieci.

Część zabrała się za sprawdzanie tego, co przywieziono przed godziną. Reszta przepytwała kierowców. Znaleźli właściwego po kwadransie. Przed chwilą dotarł do celu. Kazali mu wywalić zawartość ciężarówki w najbardziej oświetlonym miejscu placu manewrowego. Dodatkowo tak ustawili radiowozy, aby można było skorzystać z ich reflektorów.

Policjanci grzebali w śmieciach, na przemian klnąc i żartując ze swojej parszywej roboty. Wreszcie któryś krzyknął do Kurtza:

– Mam! – Trzymał w ręku szary worek. Wewnątrz był pastorał, mszał i na końcu paliusz z wyszytymi sześcioma czerwonymi, równoramiennymi krzyżami, choć w tej chwili bardziej przypominał szmatę do podłogi.

Kurtz się uśmiechnął.

18.

Marcin próbował dodzwonić się do bylej żony. Był trzeźwy, pierwszy raz od bardzo dawna. To znaczy od wyjścia z aresztu. Za piątym razem połączenie odebrał jakiś męski głos, który poinformował, że Kasia nie chce z nim rozmawiać, i rozłączył się. Rzucił na stół głuchy aparat.

Starał się nad tym zapanować, lecz wściekłość narastała. Mordercze myśli nie wiadomo skąd pojawiały się same, jedna po drugiej. Gotów był pojechać tam i stłuc tę głupią sukę i jej kochasia. Cała tęsknota i miłość ulotniły się w sekundę. Wrócił otumaniający ból w trzewiach, domagając się natychmiastowego uśmierzenia.

Po dziesięciu minutach siedział z flaszka w wynajętym pokoju.

Wódka, paląc przelyk, przyniosła ukojenie, z wolna rozlewając się po żyłach i dochodząc do mózgu. Wkrótce nie czuł nic. A potem przyszło rozżalenie. Po co to zrobił? Po co chciał z nimi walczyć? Bo śmiali się ze sprawiedliwości? Banał.

Znał odpowiedzi. Te najbardziej skrywane. Motywacje, do których człowiek za nic nie chce się przyznać. Krążyły po umyśle. Nie dając się zamknąć w najczarniejszym zakamarku mózgu.

Chciał się mścić. Za rzeczywiste i domniemane krzywdy. Chciał ich zniszczyć, bo widło im się lepiej. Nawet nie znał większości tych ludzi. Wrażenie robiły stanowiska i pieniądze. Dzięki nim stworzyli elitarną „sitwę”. Oplotła miasto szczelnie, nie pozwalając oddychać bez zgody. Dla nich prawo było ochroną ich samych i ich interesów. Ustawiało w odpowiednim dystansie wszystkich maluczkich. Nie miał szansy należeć do nich, więc postanowił ich unicestwić.

Jaki, kurwa, był z siebie dumny, gdy zdobył te informacje. Poszedł się napić do drogiej knajpy przy rynku. Zabrał kilku kolegów z tej okazji. I popełnił w tej euforii błąd. W pijackim widzie powiedział kilka słów za dużo.

Zanim przelał to na papier, został aresztowany. W domu. Jego dzieci patrzyły, jak wyprowadzają skutego ojca. Jedyny, któremu zdążył coś powiedzieć o ustaleniach, był Kurtz, ale nawet on nie zdołał go wyrwać. Oskarżono go o korupcję i było po sprawie. Nikt nie uwierzy skorumpowanemu glinie. Dopiero po roku odzyskał wolność. Był skończony.

Nalał połowę szklanki, lykając na raz.

19.

Co ciekawe, naczelnik Kurtz nigdy nie pił. Nawet w czasach, kiedy picie było w Milicji Obywatelskiej na porządku dziennym. Stało się rytualnym zmywaniem brudu z własnych sumień. Jedyną rozrywką i odreagowaniem. Większość z nich robiła swoje. Ścigali złodziei i cinkciarzy, ale gdzieś na dnie zostawało poczucie niesmaku, który można było odczytać pod fałszywym uśmiechem ludu pracującego, którego wszak bronili.

Kurtzowi wielokrotnie proponowano przejście do Służby Bezpieczeństwa, ale nigdy z tego nie skorzystał. Czuł się gliną, nie bezpiecznikiem. A bezpiecznik to bezpiecznik, zawsze jest na usługach swych politycznych mocodawców. Tak było wtedy i tak jest teraz. Tylko że teraz polityka była już wszędzie, a Kurtz nadal nie pił.

Nie to, żeby nie miał ochoty się schlać. Czasami zazdrościł innym tych chwil sponiewierania i odlotu. On po prostu nie znosił smaku i zapachu wódki. Kiedy musiał pić, to udawał, a znajomi kelnerzy przynosili mu w literatkach herbatę. Cóż, nikt nie jest doskonały.

Z drugiej strony – ta jego „przypadłość” sprawiała, że widział i brał wszystko na trzeźwo. A to nie było miłe. Widział staczających się kolegów, nepotyzm, koterie, łapówkarstwo i tchórzostwo. Matki mordujące dzieci i dzieci mordujące matki. Oglądał cały syf świata i oglądał go zupełnie na trzeźwo. Nawet jego żona, gdy zamykała za sobą drzwi po raz ostatni, stwierdziła, że od jego cholernejszego trzeźwości można się porzygać! A on na trzeźwo patrzył na rozpad swojego małżeństwa, wiedząc, że nie można nic z tym zrobić. I tak samo było z całą resztą. Dlatego dziś tylko westchnął, kiedy znów poczuł od Marcina alkoholowy wyziew.

Nie zatrzymując się, poszedł do windy, dźwigając worek z odzyskanymi rzeczami. Karczewski już na niego czekał.

– Wszystko jest?

– Tak – odparł z uśmiechem Kurtz. Wargi komendanta zaczęły się również rozciągać w uśmiechu, kiedy nagle coś sobie przypomniał. Twarz przybrała wyraz surowy, iście generałski. To znaczy taki, jaki wyobrażał sobie, że powinien mieć człowiek z wężykiem na ramieniu.

– A samochód? – zapytał zaczepnym tonem.

– Pocięty, mówilem.

– Mówilem, że ma być wszystko! – naczelnik patrzył na komendanta ze zdziwieniem, prawdziwym lub udawanym.

– Ale...

– Miałeś go odzyskać! A ty, jak słyszę, dogadałeś się ze złodziejami! Co to ma być?! To nieetyczne. My stoimy na straży prawa! Zastanawiam się, czy nie wszczać ci dyscyplinarki, a nawet czy nie zawiadomić prokuratora!

Kurtz popatrzył na niego z niedowierzaniem. Potem zrozumiał i przyjął zwykły, obojętny wyraz twarzy. Położył worek obok biurka.

– Kardynał zaprasza nas na obiad z okazji odzyskania skradzionych rzeczy, ale ty tam nie pójdziesz i ci twoi również nie.

– Dobra – rzekł Kurtz bez większego zainteresowania, ale potem dodał: – Będą bażanty i pawie? To znaczy na obiad?

– Ty się, kurwa, nie zapominaj! – wysyczał z wykrzyknikiem Karczewski. Łypnął na niego złym, być może już niedługo generalskim okiem.

Naczelnik pokiwał głową. Bez słowa zrobił w tył zwrot.

– Jeszcze nie skończyłem, naczelniku!

Kurtz zamknął za sobą drzwi.

20.

Jakiś miesiąc później „Kulas” pędził ulicą Ewerysta Estkowskiego skradzionym passatem. Za nim migały niebieskie światła radiowozu. Docisnął pedał gazu do dechy. Na moście Bolesława Chrobrego zobaczył kolejne błyski. Jechały lewą estakadą w jego kierunku. Zanim nakręca, powinien być za rondem Śródka. Oby zgubić tylko te psy, która jada za nim. Most był tuż-tuż. Wpadł w ostatni zakręt. Znał go. Droga była źle wyprofilowana i niebezpieczna. Nie zwolnił jednak.

„Kulas” swej przypadłości nabawił się podczas jednego z dość licznych pobytów w policyjnej izbie dziecka położonej na tyłach poznańskiej cytadeli przy ulicy Winogrady, zwanej potocznie „bidulem”.

Miał z dziewięć lat, kiedy ojciec pobił nie wiadomo który raz matkę, a on wylądował w nocy na ulicy. Nie chciał się pokazywać interweniującym policjantom, gdyż to niechybnie skończyłoby się zamknięciem w jakimś kolejnym ośrodku. Jego dwóch młodszych braci właśnie tam zabrano. Błąkał się po ulicach Łazarza. Był zmęczony i głodny. Ukradł kilka oryginalnych kołpaków od drogich aut oraz „grill” terenowego audi. Miał w tym wprawę. Kradł części od dwóch lat. Kochał auta. Od kiedy tylko pamiętał, zbierał kartki z modelami samochodów. Potem kolekcjonował znaczki marek, skradzione z aut stojących na ulicy.

Nad ranem chciał iść do pana Edka, mającego warsztat samochodowy na Kąciku. Zawsze mógł liczyć na dychę albo dwie za swoje „zdobycze”. I wtedy napatoczył się ten główniany patrol – jak zawsze o tym myślał.

Rzucił kłamoty, ale szczupły policjant był szybszy. Po chwili siedział w „trzeciej klasie” policyjnego busa. Zawieźli go na Winogrady. Przedwojenna willa z kratami w oknach przyjęła go niechętnie, a zaspany wychowawca umieścił w sali ze starszymi chłopcami. Jeszcze tej samej nocy został zgwałcony przez dwóch czternastolatków. Kiedy następnego wieczora odgrażali się, że zrobią to samo, dostał się na dach. Tam, poza krawędzią, była wolność. Skoczył na przyległą gałąź jabłoni, ale ta okazała się zbyt odległa. Noga chrupnęła w kolanie. Obudził się w szpitalu. Obolały, ale nie „scwelony”. Wtedy postanowił, że już nigdy nie da się złapać.

Koła zapisały o asfalt. Mimo abs-u zblokowało je. Auto sunęło bokiem w stronę ciemności. Próbował odbić w lewo, lecz nie skutkowało. Przy dwustu na godzinę wszystko trwało sekundy. Ściął barierkę, nawet nie słysząc przeraźliwego odgłosu dartego metalu. Przeleciał nad skarpą. W dali widział światła Ostrowa Tumskiego. Pod nim nie było nic. Jego mózg rejestrował wszystko jak na zwolnionym filmie. Miał czas pomyśleć o paliuszu.

– Świętokradztwo, kurwa! – dotarła do niego ostatnia myśl.

Auto zawisło w próżni na ćwierć sekundy. Przód zaczął opuszczać się wolniutko w dół, buksujące koła miały bezskutecznie powietrze. Rozpoczęło się spadanie, podczas którego połykał go mrok. Reflektory wychwyciły jakiś ciemny błysk w czeluści. Nastąpiło uderzenie. Walnął głową w boczny słupek. Nie czuł, jak lodowata woda wdziera się do kabiny, ogarnia ją i jego. Mimo wszystko los okazał się łaskawy. Utopił się nieprzytomny.

21.

– Niech was błogosławi Wszechmogący! Ojciec i Syn, i... – śpiewnie zakończył kardynał, wspierając się lewą ręką na prostym pastorałku, a prawą czyniąc znak krzyża. Wierni powtarzali go za nim. Mitra z szacunkiem pochyliła się w ich kierunku. Paliusz otaczał szyję metropolity, jego wystrzępione końce zwisały na piersi i plecach. Przy pokłonie w kierunku ołtarza jeden z nich zaczął o laskę. Kardynał strząsnął go elegancko. Ilekroć na niego patrzył, powracała do niego historia sprzed kilku miesięcy, mimowolnie uśmiechnął się na to wspomnienie.

Kardynał coraz rzadziej bywał w Poznaniu, za to częściej w Rzymie. Papież potrzebował go na miejscu.

Konferencja episkopatu odbyła się dwa miesiące temu. Nie został wybrany na przewodniczącego. Nikt oficjalnie nie mówił dlaczego. Purpuraci pytani przez dziennikarzy unikali odpowiedzi. Sekretarz wyjaśnił tylko, że wśród biskupów panuje również „demokracja” i każdy oddaje głos, na kogo uważa.

Po cichu spekulowano, że został uznany za zbyt liberalnego kandydata. Komuś wyrwało się nawet, że to nie Ameryka Południowa, tylko Środkowa Europa.

On sam zdawał się tym wszystkim nie przejmować. Robił swoje. Podczas jego homilii kościoły pękały w szwach. Kiedy tylko mógł, nadal wychodził do ludzi, niosąc im przesłanie Tego, w którego uwierzył.

22.

Uroczysty obiad odbył się w pałacu arcybiskupim zgodnie z planem. Na biesiadę przybyło kilku starannie wybranych policjantów, w tym zastępca komendanta wojewódzkiego Żwirski oraz naczelnik wydziału dochodzeniowo-śledczego Wazeliński, który jako pierwszy dopadł pierścienia kardynała. Przedstawiono ich jako tych, którzy odzyskali skradzione mienie kardynała. Ten dziękował każdemu z osobna. Towarzystwo było nieco spięte.

Dzięki humorowi gospodarza zrobiło się wesoło, a dobre jedzenie samo w sobie powodowało błogie rozluźnienie. Metropolita tylko raz zapytał Żwirskiego o Kurtza. Komendant zająknął się, lecz szybko odpowiedział, że naczelnik jest chory. Kardynał zrobił nieoczekiwany gest. Poklepał zdrętwiałego pułkownika po grzbiecie dłoni. Po czym, patrząc w oczy, rzekł:

– Proszę życzyć mu zdrowia. – Więcej nie wrócił do tematu.

Kiedy spotkanie dobiegło końca, biskup Rannicki przystanął ze Żwirskim nieco z tyłu.

Wazeliński, który miał słuch wyostrzony niczym nietoperz, dokładnie usłyszał wypowiedziane cicho słowa.

– Kościół ceni ludzi odważnych i nigdy o nich nie zapomina, inspektorze.

– Ależ, eminencjo...

– Dobrze, dobrze, synu – stwierdził, uśmiechając się blade, biskup i podał pierścień do ucałowania.

Dokładnie kwartał później Żwirski został powołany na zastępcę komendanta głównego polskiej policji. Zabral ze sobą Wazelińskiego, którego awansowano na dyrektora biura dochodzeniowo-śledczego w KGP. Koło prawie się domknęło, lecz wystąpił nieoczekiwany zgrzyt, Karczewski nie otrzymał stopnia generalskiego. Prezydent odrzucił wniosek. Powodem nie był brak kompetencji czy aktualnych wyników, ale notatka służbowa z 1987 roku.

Napisał ją niejaki porucznik Łapalski, pracujący wtedy w kadrach Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych w Poznaniu. Proponował on zainteresowanie się przez Służbę Bezpieczeństwa młodym funkcjonariuszem o nazwisku Karczewski. Przedstawił go jako zdolnego, ambitnego i ideowo nieskażonego, co miało go rekomendować do służby w bezpieczeństwie.

Karczewski przez tydzień nie przychodził do komendy. Potem Żwirski zrobił go na otarcie łez oficerem łącznikowym w Pradze.

23.

Ojciec przeprowadził męską rozmowę z Miłozsem. Propozycja była krótka i treściwa. Otrzyma porsche cayenne, jeśli wróci do szkoły. Młody Kusterski już chciał powiedzieć, że może sobie takie ukraść dziś wieczorem, ale podbite przez Benka oko zabolalo akurat mocno. W sumie dlaczego nie? – pomyślał. – To się oplaca.

Przez ostatnie lata wyćwiczył się w sztuce kłamstwa do perfekcji, teraz miał wkroczyć na wyższy poziom. Miał zapomnieć wkrótce, czym jest prawda. Postanowił zostać prawnikiem, i to dobrym.

24.

Marcin obudził się ze straszliwym bólem głowy. W pierwszym odruchu nie pojął, gdzie się znajduje. Okna były zakratowane, sufit niski i poźółkły. Ściany pokrywała szraczkowatego koloru olejnica. Łóżko było twarde i niewygodne. Zerwał się, co przyplacił prawie upadkiem. Miał na sobie koszulę nocną za kolana i ta zakręciła się wokół nóg.

Powoli obrazy dnia poprzedniego zaczynały napływać do zwolnionego wódką mózgu. Kogoś біłem – przypominał sobie. A ten przybytek, w którym się znajdował, to izba wytrzeźwień. Opanował go bezradny wstyd, który jednak szybko przeszedł w złość na cały świat. Cudu nie było!

– Ja im, kurwa, wszystkim pokażę – mruknął przez zaciśnięte zęby.

25.

Wszystko ma swój czas i miejsce – pomyślał Kurtz wpatrzony w nieruchomy spławik.